Rocznik Gdański, t. LXXXI
2021 PL ISSN 0080-3456

DYSKUSJA W RAMACH SEMINARIUM NAUKOWEGO *KRZYŻAK, DANZIGER, DZIADEK Z WEHRMACHTU I INNE POMORSKIE WIDMA. CZEGO NAS UCZY POWRACAJĄCA PRZESZŁOŚĆ?*

Gdańsk: Oliwski Ratusz Kultury, 17 czerwca 2021 r.[1]

Wprowadzenie: prof. dr hab. Maria Mendel, Instytut Pedagogiki UG, GTN (dalej: **Maria Mendel**): Pozwolą państwo, że przedstawienie organizatorów rozpocznę od gospodarza miejsca, czyli pana Andrzeja Stelmasiewicza, którego poprosiłam o otwarcie naszego seminarium.

Andrzej Stelmasiewicz, Prezes Fundacji Wspólnota Gdańska (dalej: **Andrzej Stelmasiewicz**): Witam państwa w imieniu fundacji Wspólnota Gdańska i Oliwskiego Ratusza Kultury, który jest jednym z wielu projektów tej fundacji. Bardzo się cieszę z zaproszenia. Uważam, że tematyka niniejszego seminarium jest niezwykle ważna, jesteśmy postrzegani przez wielu ludzi przez pryzmat „danzigerostwa", Krzyżaków, opcji niemieckiej. Im dalej na południe, im dalej na wschód, tym bardziej nas się tak widzi, tym więcej osób tak sądzi. Ktoś powinien podjąć próbę, dać temu jakiś odpór, gdyż trzeba rozumieć lokalną specyfikę. Dlatego to spotkanie jest takie ważne, dziękuję państwu, że tu jesteście, już się nie mogę doczekać dyskusji. Natomiast niezmiernie się cieszę, że to spotkanie będzie nagrywane – potencjalna publiczność może i powinna być ogromna, bo sprawy są naprawdę ważne. Kto ma bowiem odkłamywać różne stereotypy, które wielu ważnych ludzi wygłasza na temat Pomorza, jak nie my? Mój genotyp jest lubelski – urodziłem się i wychowałem w Lublinie, jestem imigrantem tutaj w Gdańsku od bardzo wielu lat, większość życia tu spędziłem. Ale nie mam krzyżackich czy gdańskich genów, mam lubelskie. Także kochani, miłego dnia, ciekawych rozmów, interesujących dyskusji i jeszcze raz składam wyrazy ogromnego szacunku pani profesor Marii Mendel.

[1] Seminarium zorganizowane było przez Wydział I Nauk Społecznych i Humanistycznych GTN (partnerzy: Uniwersytet Gdański, Muzeum Stutthof w Sztutowie i Fundacja Wspólnota Gdańska), połączone zostało z promocją książki *Eduwidma, rzeczy i miejsca nawiedzone* pod redakcją Marii Mendel (Wydawnictwo UG, Gdańsk 2020) oraz prezentacją malarstwa gdańszczanina, Herberta Waltmanna (1919–1929). Uczestnicy seminarium wyrazili zgodę na nagranie oraz publikację ich wypowiedzi.

RG_2021.indd 307 2022-09-14 10:41:07

Maria Mendel: Bardzo dziękuję, panie prezesie, przede wszystkim przyjacielu naszej inicjatywy! Kontynuując przedstawianie współorganizatorów naszego wydarzenia, pozwolę sobie teraz poprosić pana profesora Jerzego Błażejowskiego, który łącząc miejsca swojego zaangażowania zawodowego i pasji naukowej, reprezentuje jednocześnie Gdańskie Towarzystwo Naukowe, jako prezes tego towarzystwa, i Uniwersytet Gdański, w którym przepracował tak wiele lat, że może reprezentować go absolutnie w każdym calu. Oddaję głos…

Jerzy Błażejowski, Prezes Gdańskiego Towarzystwa Naukowego (dalej: **Jerzy Błażejowski**): Proszę państwa, chciałem państwa serdecznie powitać. Po długim okresie, w którym nie mogliśmy się spotykać – nadszedł ten moment […]. Chciałem kilka kwestii poruszyć – po pierwsze, dziękuję pani profesor za wyjątkową aktywność. Pani profesor przewodniczy wydziałowi pierwszemu Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, który jest najbardziej aktywny i który, z racji […] swojego usytuowania, organizuje tego typu spotkania. Pani profesor organizuje wiele spotkań dyskusyjnych, które są bardzo ważne, ponieważ uczestniczą w nich nie tylko przedstawiciele środowisk naukowych czy akademickich, ale również społeczność lokalna, miejscowa, z czego się bardzo cieszymy. Chciałbym serdecznie podziękować panu dyrektorowi i panu prezesowi, który przed chwilą zabierał głos, za udostępnienie sali i umożliwienie zorganizowania tego spotkania. Ale ponieważ pan prezes poruszył pewne osobiste sprawy, ja również do podobnych się odniosę. Otóż moja rodzina pochodzi z Kresów, tzn. z województwa stanisławowskiego, i tu na Pomorze przybyła po wojnie. Pierwsze wspomnienia obejmują przeprowadzkę do Golubia-Dobrzynia. Golub to miejscowość, która leżała na granicy państwa krzyżackiego, natomiast Dobrzyń to miasto, które powstało przy Golubiu w czasie zaborów. Rzeka Drwęca dzieliła te miasta w czasie zaborów. Kiedy pojawiłem się w szkole podstawowej, moi koledzy i koleżanki nazywali mnie Ukraińcem. Potem byłem Krzyżakiem. Natomiast mieszkańców Dobrzynia golubiacy nazywali piponami. Pewnie nie było to ładne, eleganckie, ale tak po wojnie mówiono. Dzisiaj podchodzę do tego z uśmiechem, jako do zanikającego zwyczaju przeszłości, która odchodzi w zapomnienie. Jeśli gdzieś się odradza, to chyba szczątkowo i raczej nie stanowi problemu. Pani profesor, pani przewodnicząca, życzę udanego spotkania, ciekawych i interesujących dyskusji.

Maria Mendel: Dziękuję bardzo. Szanowni państwo, wydarzenie dzisiejsze organizowane jest przy udziale bardzo ważnego partnera – współorganizatorem tego przedsięwzięcia jest Muzeum Stutthoff w Sztutowie, którego dyrektor jako gość z tzw. proszonym głosem w dyskusji zabierze teraz głos – pan Piotr Tarnowski. Bardzo proszę, panie dyrektorze.

Piotr Tarnowski, Dyrektor Muzeum Stutthof w Sztutowie (dalej: **Piotr Tarnowski**): Dzień dobry państwu, bardzo dziękuję za przybycie na dzisiejsze seminarium, gospodarzowi za udostępnienie tego pięknego miejsca, a pani profesor za wiarę w to,

że jestem w stanie wnieść coś ciekawego do tej dyskusji. Opowiem o genotypie warszawskim, choć dalej idący jest krakowski. Sądzę jednak, że to, co chciałbym państwu zaoferować w czasie dzisiejszej dyskusji, to moje doświadczenie oraz pewien dystans wobec historii regionu, którą ciągle staram się zrozumieć. Poznanie faktów wcale nie jest tożsame z jej rozumieniem. Pani profesor, jeszcze raz dziękuję za zaproszenie.

Maria Mendel: Czekamy na pana głos w dyskusji – bardzo dziękuję. Proszę państwa, tego wydarzenia nie byłoby też, gdyby nie udział Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego, które reprezentuje pan Łukasz Gwizdała – bardzo dziękujemy za przybycie! Wspomniałam o książce – to właśnie ta pozycja *Eduwidma. Rzeczy i miejsca nawiedzone* nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego ukazała się na początku grudnia 2020 roku, a jej współautorzy zasilą dzisiaj nasze dyskusje. Może przedstawię państwa w takiej kolejności, jak usiedliście, od lewej: pan Jarosław Rutkowski, pan Dominik Krzymiński, pani Michalina Hładun i pan Mateusz Rutkowski – bardzo się cieszę z państwa obecności i witam serdecznie. Szanowni państwo, zaproszenie do głosu w dyskusji przyjęli też następujący goście – proszę o zajęcie miejsca na tym podwyższeniu, by było państwa trochę lepiej widać i słychać! Witam serdecznie panią profesor Miłosławę Borzyszkowską-Szewczyk. Pani profesor jest filolożką germańską, reprezentuje Uniwersytet Gdański, jak również bardzo wiele organizacji pozarządowych.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk, dr hab., profesor Uniwersytetu Gdańskiego, Instytut Filologii Germańskiej, Pracownia Badań nad Narracjami Pogranicza, GTN (dalej: **Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk**): Odwołując się do przywołanego wcześniej genotypu, zacznę chyba od Krzyżaka i nadania w 1352 r. przez komtura człuchowskiego niejakiemu Janowi Szade wsi Borzyszkowy. Potem był i dziadek w Wehrmachcie oraz Danziger… Babcia Hildegarda ukończyła Polską Wyższą Szkołę Handlową im. Macierzy Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku. A następnie rodzice w latach 60. XX w. przyjechali na studia do Gdańska z Kościerzyny i Karsina. I tak jakoś cały czas żeśmy tutaj przetrwali mimo historycznych burz…

Maria Mendel: Bardzo proszę o zajęcie miejsca także pana Piotra Tarnowskiego! A teraz pan profesor Michał Harciarek, który również reprezentuje Uniwersytet Gdański. Zobowiązał się pokazać fragment swojej znakomitej kolekcji dzieł Herberta Waltmanna. Powie nam pan coś o sobie?

Michał Harciarek, dr hab., profesor Uniwersytetu Gdańskiego, Instytut Psychologii UG, GTN (dalej: **Michał Harciarek**): Szanowni państwo, przede wszystkim dziękuję za zaproszenie pani profesor. Jestem psychologiem pracującym w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego. Zajmuję się na co dzień neuropsychologią, ale z pasji faktycznie jestem entuzjastą Gdańska, zwłaszcza okresu dwudziestolecia międzywojennego. Moja rodzina pochodzi stąd, moja babcia też chodziła do tego samego gimnazjum w Wolnym Mieście. Mój pradziadek zginął, walcząc o polskość Gdańska. Został

aresztowany i zginął w Stutthofie w 1940 r., rozstrzelany w Wielki Piątek. Więc moje związki z tym miejscem są bardzo silne, jednocześnie Herbert Waltmann jest kuzynem mojej babci, która właśnie ma taką, a nie inną historię. Jej tata zginął, walcząc o prawa Polaków, natomiast jej kuzyn niestety został wypędzony jako Niemiec. O tym też, jeśli będzie okazja, dwa słowa powiem.

Maria Mendel: Bardzo dziękuję, wszyscy chyba czujemy się rozgrzani do dyskusji po tych kilku głosach wstępu. Miał być z nami również pan dyrektor Muzeum Zamkowego w Malborku, pan profesor Jerzy Trupinda. Niestety, nie zdoła dołączyć. Miło mi natomiast powitać panią profesor Beatę Możejko, której serdecznie dziękuję za przyjęcie zaproszenia do zabrania głosu w naszej dyskusji! Pani profesor jest mediewistką, specjalistką od późnego średniowiecza, czyli także od Krzyżaków. Złóżmy tutaj honor jej promotorowi i mentorowi, świętej pamięci profesorowi Henrykowi Samsonowiczowi, który odszedł niedawno. Był mocno związany z ziemią gdańską, pomorską; był specjalistą od Hanzy i miast bałtyckich; był naszym kolegą – członkiem Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Wspominamy go z ogromnym szacunkiem i rozrzewnieniem.

Beata Możejko, prof. dr hab., Wydział Historyczny UG, GTN (dalej: **Beata Możejko**): Przyjechałam dzięki zaproszeniu pani profesor. Do Gdańska w 1946 r. przybył mój tato, którego rodzina była deportowana przez Sowietów do Kazachstanu, wywodzę się z Kresów. Mój dziadek – świętej pamięci Paweł Możejko odbył cały szlak z Andersem – taka jest nasza historia. Natomiast ja urodziłam się w Gdyni, wychowałam w Sopocie, studiowałam i pracuję w Gdańsku, więc jestem z Trójmiasta. Praktycznie całe moje życie naukowe poświęcam badaniu Gdańska, Hanzy. Bardzo dziękuję pani profesor za to zaproszenie. Dziękuję bardzo.

Maria Mendel: Szanowni państwo, wszyscy zaproszeni są do dyskusji. […] Proszę pamiętać, że jest to otwarte seminarium, a głosy tych państwa są głosami, jak to się mówi w akademickim środowisku, proszonymi […] zacznijmy! Pozwolę sobie na miniprolog. W związku z tym, że poprzedni rozmówcy poruszyli zagadnienie genotypu, chcę choćby krótko powiedzieć o własnym. Moi rodzice przyjechali tutaj tuż po wojnie, ale nie zamieszkali od razu w tym domu, o którym chcę mówić – osiedli w nim kilka lat potem. Najpierw ojciec w Gdyni wynajmował pokój, potem żyli z mamą w mieszkanku na Siedlcach, wreszcie zamieszkali w małym, poniemieckim domu Na Zboczu. Oboje moi rodzice nie żyją, ale w rodzinie do dziś powtarza się opowieści mamy, jej historie rodzinne, pamięć o niej jest nadal żywa. Ta akurat opowieść składa się z wielu odcinków, w których jak leitmotif powtarza się to, co powiedziała, kiedy po raz pierwszy, już z dwójką dzieci i mężem, przekroczyła próg tego domu. Na marginesie – pozwólcie, że dodam słowo o moim ojcu, stoczniowcu z trzynastym numerem ewidencyjnym. W ojcu też coś silnie widmowało, kiedy na przykład powtarzał uparcie, że odbudowuje stocznię, a nie buduje ją, jak wmawiały ludziom ówczesne

RG_2021.indd 310 2022-09-14 10:41:07

władze… A mama na tym progu powiedziała, że nie będziemy tu szczęśliwi. Twierdziła, że Niemka przeklęła ten dom. Dowiedziała się tego ponoć od sąsiadki, Danzigerki właśnie, która opowiedziała jej o straszliwym dramacie, który przeżyła Niemka wypędzona z tego maleńkiego, bajkowo słodkiego, ślicznego domku. Taka historia nie może być nieobojętna – ona wpływa na wszystko to, co właściwie w życiu później robimy. Moje rodzeństwo i ja sama wzrastaliśmy w poczuciu, że Niemka, opuszczając ten dom, wyganiana z niego, była bardzo nieszczęśliwa, a my jakoś się do tego przyczyniliśmy. Staraliśmy się żyć z tym, zmieniać tę narrację, ale […] duchy wracają.

Dzisiaj chciałabym porozmawiać z Państwem właśnie o tym w kontekście książki, o której wspomniałam – *Eduwidma. Rzeczy i miejsca nawiedzone*. To pozycja, która w perspektywie teoretycznej zbudowana jest na filozofii Jacquesa Derridy, francuskiego filozofa, słynnego z użytkowanej ciągle filozoficznej metody dekonstrukcji i jej arcyciekawego pojęcia. Zasłynął również jako filozof upominający się o to, co nieobecne, i który zarazem walczy z totalizującą mocą i totalizującą pracą teorii. Właśnie dzięki dekonstrukcji starał się zwracać uwagę na marginesy. Robił to przez wyjmowanie pojedynczych słów, pojedynczych artefaktów, wycinków rzeczywistości; przez pokazywanie jak praca teorii zaciemnia fakt, że twierdzenia brzmią dobrze i same do siebie pasują, ale nie wszystko z nimi i wobec nich gra. Dopiero jak z tej dekonstrukcyjnej formuły Derridy wyciągnie się z teoretycznych struktur jakąś jedną cegiełkę, jest się w stanie zobaczyć zupełnie inne całości; zdekonstruować nie tylko teorię, ale też, na przykład, zdekonstruować czas. Pozwolą państwo, że punktem wyjścia – tak jak przy powstawaniu tej książki – będzie pytanie o czas właśnie oraz o obecność. Na trwającym ponad dwa lata seminarium doktorskim z obecnymi tu autorami *Eduwidm* zadawaliśmy sobie tego typu pytania i one kierowały nas wprost ku filozofii Derridy. To on upomina się o byty, które są i nie są jednocześnie albo istnieją w taki sposób, że nie możemy stwierdzić, że są, ale i nie sposób powiedzieć, że ich nie ma. Oczywiście używam tutaj bardzo nieostrych określeń, ale może dają one do myślenia… Derrida na takich silnie mglistych pojęciach zbudował swoją hauntologię, od angielskiego *to haunt* – nawiedzać, ontologia nawiedzona. Zrobił to trochę prześmiewczo, bo w artykulacji słowa *hauntology* słychać homonim, czyli ontologia nawiedzona, inna, dziwna. Tym samym śmieje się Derrida z ontologii tradycyjnej, która ślepa jest i głucha na tego rodzaju byty, na to, co istnieje poza tym, co tradycyjne. Hauntologia Derridy jest dekonstrukcją tej tradycyjnej teorii bytu i zarazem dekonstrukcją czasu – pyta o nieobecne, czyli bytujące poza tradycyjnym czasem, obecne inaczej. Hauntologia po polsku to widmontologia, bo widmo w hauntologii koncentruje uwagę filozofa. Ciekawy wykład na ten temat znajdziemy w jego *Widmach Marksa*. Ta książka powstała zgodnie ze wspomnianym podejściem Derridy – filozofa balansującego na krawędziach i poszukującego na marginesach. Powstała wskutek rozwinięcia tez, które zawarł w przemówieniu otwierającym kongres międzynarodówki. „Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu" – to pierwsze słowa Manifestu Komunistycznego. I w książce, i w tym przemówieniu Derrida tropi widma Marksa, pokazując, jak dalece widmowo bytująca w teraźniejszości przeszłość potrafi nas uwieść; jak potrafi pozamykać bardzo

szczelnie albo – odwrotnie – szeroko pootwierać nasze receptory; jak potrafi nam zamknąć lub otworzyć oczy na rzeczywistość taką, jaka ona jest. Nie osiągniemy realnego i nie zdołamy rozwiązać swoich problemów, jeżeli damy się uwieść widmom, jak dał się im uwieść Marks i jak daliśmy się uwieść Marksowi, komunizmowi czy kapitalizmowi itd. Derrida uczy, że aby nie dać się posiąść widmom, należy z nimi rozmawiać. W *Widmach Marksa* często odwołuje się do przykładu szekspirowskiego Hamleta, którego nawiedza Duch Ojca. Ten duch istnieje w powrotach, udowadnia jakby, że jest, ponieważ powraca. Nasz Krzyżak, Danziger czy dziadek z Wehrmachtu też uparcie wracają, nawiedzając nasze myślenie, nasze polityczne dyskursy, nasze życie, także to prywatne. Kształtują nas, formatują, uczą – są edukacyjne. Stąd eduwidma i eduwidmontologia… My tutaj pozostajemy pod wpływem pomorskich widm, związanych z tą ziemią i kulturą. Powiedzcie, czego i jak was uczą, w jakich okolicznościach i dlaczego co jakiś czas wraca dziadek z Wehrmachtu? Kolejne rodowody, kolejne pokolenia i liczne osoby, które tu wyrosły, nie niwelują tego, dziadek z Wehrmachtu znowu wypływa… Albo – powiedzcie – jak to się dzieje, że na przykład szef muzeum zamkowego w Malborku dostaje ostatnio e-maile od zwiedzających, którzy pytają w nich: „panie dyrektorze, co pan tu wyprawia? Pan tak wychwala tych Niemców, a przecież to naziści". Krzyżacki zamek w Malborku i naziści, faszyści… Nie chcę wchodzić w słowo państwu, bo mają państwo swoje przykłady, ale wydaje się jasne, że trzeba pytać czego, dlaczego i jak uczą nas te pomorskie widma, obserwować, w jaki sposób kształtują nas ponad czasem, przychodząc z przeszłości do życia, które wydaje się czystą teraźniejszością – czymś zawsze „tu i teraz". Przejdźmy do dyskusji – kto z państwa zechce zacząć?

Beata Możejko: Jako historyczka mogę zacząć od Krzyżaków. […] Kto z państwa nie czytał *Krzyżaków* Sienkiewicza? Wszyscy czytaliśmy tę książkę albo oglądaliśmy tzw. kultowy film na jej podstawie. I jesteśmy przez zawarte w niej widmo uwięzieni. Kiedy studenci i studentki przychodzą na moje zajęcia, to mają wyobrażenie Krzyżaka, który skrzywdził Juranda, a co gorsza – skrzywdził Danuśkę, czego nie można mu odpuścić. To efekt czarno-białego postrzegania Krzyżaka. Na to nakłada się potem rozumowanie, wedle którego Krzyżak = Niemiec, a na to się nakłada się pomijanie całej historii np. Pomorza po 1454 r., czyli przejście pod władze króla polskiego, pomija się cały czas rozkwitu Pomorza Gdańskiego, Gdańska, zresztą za Krzyżaków też notowano rozwój, o czym powiem za chwilę. Idąc tym tokiem rozumowania, przechodzi się do nazistów – to jest bardzo prosta kalka. A wszystko to właśnie przez uwiedzenie tą dramatyczną opowieścią Henryka Sienkiewicza. I druga rzecz, że w szkole bardzo zazwyczaj nudno opowiada się o zakonie krzyżackim, nie pokazuje się go w kontekście misji cywilizacyjnej – to, że mamy zamki, gdzie mogą przyjeżdżać turyści, prawo, majątki, które zostały nadane, prowadzoną do dziś genealogię. Piśmiennictwo, kroniki, dokumenty – to wszystko, z czego jesteśmy dumni i co jest przechowywane w Archiwum Państwowym w Gdańsku i nie tylko, to przecież również spuścizna związana z Krzyżakami. Oczywiście, gdy będziemy patrzeć na historię krzyżacką tylko przez

pryzmat wojen, jasne, że damy się uwieść temu widmu. Nawiązując do tych rozważań, opowiem anegdotę: pojechałam z wykładem do Rzeszowa. Dzisiaj Rzeszów jest odczarowany po ostatnich wydarzeniach, ale rzecz działa się na Uniwersytecie Rzeszowskim, na wydziale historycznym, gdzie mówiłam o rajcach gdańskich okresu późnego średniowiecza, opowiadałam różne historie, objaśniałam biografie. Później pani profesor, która mnie zaprosiła z tym wykładem, zapytała studentów, czy mają pytania. Ku mojemu zaskoczeniu zgłosił się jeden student z pytaniem: „A czy pani profesor jest pewna, że w czasach średniowiecza i w początkach nowożytności nie było w radzie miasta Gdańska jednego rajcy Polaka?", na co odpowiedziałam, że jestem pewna, bo takie są fakty. Student skwitował to następująco: „To bardzo źle". I to pokazuje, dlaczego właśnie tak łatwo zacząć od kalki Krzyżak, Danziger, Wehrmacht i dlaczego to jest nadal atrakcyjny schemat… Być może ponosimy też – na pewno częściowo – za to jakąś odpowiedzialność. Dlatego świetnie, że zorganizowała pani profesor to spotkanie i że powstała książka – *Eduwidma*, dzięki temu nie tylko w naszym, pomorskim środowisku (bo w Gdańsku kształtuje się już coraz większe zrozumienie dla tej historii, tak mi się wydaje przynajmniej), ale także poza nim może uda się rozmawiać z mieszkańcami centralnej Polski, z południa Polski, ze wschodu Polski. Powinniśmy opowiadać im naszą historię, akcentując, że ten Krzyżak z Sienkiewicza to jest jedna wersja, opowiadając, dlaczego Sienkiewicz tak to napisał i w jakich czasach powstała książka.

Maria Mendel: Dokładnie tak. Kto z państwa chciałby coś dodać?

Piotr Kotlarz, Prezes Fundacji Kultury Wobec, Gdańskie Towarzystwo Naukowe (dalej: **Piotr Kotlarz**): Według mnie pojawiały się tu pewne uproszczenia, które od razu trzeba sprostować. Państwo już od początku mówili o genotypie swoim itd. Nie ma genu Polaka, Niemca, Żyda itd. Można mówić o tożsamości. To jest błąd polskich historyków, naukowców, który popełniamy. Również Krzyżacy – tak wymyśliliśmy z kolegą na marginesie widma Krzyżaka itd. – nie byli Niemcami. Odbędzie się panelowa dyskusja na temat tożsamości kulturowej Krzyżaków i mieszkańców państwa zakonnego, bo to też były dwie różne kwestie. Krzyżacy to była bezpotomna głowa państwa, ze względu na celibat umierali bezpotomnie – ostatni z nich był siostrzeńcem króla polskiego z dynastii Jagiellonów, więc też nie był Niemcem, zależy czy po mieczu, czy po kądzieli. To są nadmierne uproszczenia – Krzyżacy zbudowali model państwa zakonnego, bardzo nietypowy model, to państwo musiało upaść, przekształcić się w ramach państw feudalnych. Krzyżacy zaczerpnęli to od Mameluków z Egiptu, z państw arabskich, z wypraw krzyżowych przywieźli ów model państwa. Pod Grunwaldem część rycerstwa polskiego stanęła po stronie Krzyżaków, a część po stronie Jagiellonów, różnie było. Nie było w Gdańsku Niemców ani Polaków w radzie Gdańska, bo tożsamość narodową dopiero w XIX w. wymyślili Francuzi – są narodem od 1789 r. Dopiero Lelewel stwierdził, że my Polacy, chłopi, wywodzimy się nie od Sarmatów, tylko od Gotów. Wymyślił sobie taką historię. Profesor Weigl, wynalazca szczepionki

na tyfus, pochodzący z Austrii, powiedział, że tożsamość narodową przyjmuje się raz i on zostanie Polakiem. Nie zgodził się zostać Niemcem, dlatego nagrody nie dostał – przez kwestię zdeklarowanej tożsamości. My nie wiemy, jaka była tożsamość kulturowa, narodowej nie sposób określić.

Beata Możejko: Kulturowa, wiemy.

Piotr Kotlarz: Do XIX w. naród polski tworzyła tylko szlachta. Podobnie naród niemiecki. Nie było w tamtym czasie poczucia tożsamości narodowej, jak pisał Czesław Odyniec w tamtym czasie. To tyle…

Maria Mendel: Szanowni państwo – może przedstawię – pan Piotr Kotlarz, z Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, który raz w miesiącu daje wykład w kawiarence u Pellowskiego, w galerii Madison – zaproszenia są publikowane na stronie GTN.

Beata Możejko: Czy ja mogę *ad vocem*? Nie do końca się z panem zgodzę. Parę naście lat temu w kościele pw. Najświętszej Marii Panny w Gdańsku, w kościele mariackim, gdzie zabieram zawsze studentów na zajęcia, staliśmy pod piękną tablicą dziesięciorga przykazań ufundowaną przez gdańszczan, patrycjuszy gdańskich, co do czego nie ma wątpliwości. Tłumaczyłam studentom pochodzącym z różnych stron Polski, że ci gdańszczanie uważali się najpierw za poddanych zakonu krzyżackiego i wielkiego mistrza, a później za poddanych króla polskiego. A jak oni się nazywali? Nosili imiona niemieckie, niemieckobrzmiące, nie nazywali się Agnieszka, tylko Agnes, nie nazywali się Piotr, tylko Peter, i używali również nazwisk Forster, Ferber, Angermunde itd. Ci właśnie gdańszczanie modlili się w języku niemieckim, używali ikonografii z napisami w języku niemieckim i korespondowali z królem polskim w języku niemieckim. Oczywiście w kancelarii króla Kazimierza Jagiellończyka prowadzono dokumentację itp. w języku łacińskim, który wówczas w Europie był odpowiednikiem współczesnego angielskiego. W sprawie narodów – tu się z panem zgadzam, rzeczywiście, o tym pisał wielki historyk, nieżyjący już Benedykt Zientara – narody kształtują się, całe średniowiecze się kształtują, tak, ale mimo to w czasie zjazdu w Prusach Królewskich w Malborku, kiedy z płomienną mową wystąpił do nich prymas Polski, apelując, żeby pomogli królowi polskiemu w walce z islamską Turcją, stwierdzając przy tym, że my jesteśmy jedno, my tu, i Prusy Królewskie, i Gdańsk jesteśmy jedną Polską, gdańszczanie i przede wszystkim szlachta z Prus Królewskich odpowiedziała: nie, my jesteśmy poddanymi. To jest w protokołach, można zajrzeć do Internetu, do akt Prus Królewskich, tom 1 i o tym przeczytać, bo to było protokołowane. W odpowiedzi na apel prymasa szlachcic z Prus Królewskich stwierdził: „Nie, my jesteśmy stąd, my jesteśmy z Prus Królewskich. My jesteśmy poddanymi króla polskiego, ale my Polakami nie jesteśmy". Muszą minąć stulecia, by mówić o polonizacji szlachty. Pani profesor będzie więcej na ten temat opowiadać, ale ja bardzo protestuję, żeby bać się powiedzieć o Krzyżakach, że to byli Niemcy, że oni byli pochodzenia niemieckiego. Byli – część z nich była.

Dysponujemy na ten temat obszernymi badaniami historyków poznańskich, chociażby pana Marcina Dorny, który opublikował co najmniej kilka prac i monografii, zresztą już uznanych w świecie naukowym, z których wynika, że oczywiście, byli oni poddanymi cesarza rzymskiego, świętego Cesarstwa Rzymskiego – my to nazywamy w uproszczeniu Cesarstwem Niemieckim. Oczywiście, pochodzili też z Francji, ze Szwajcarii, dzisiejszej Austrii, natomiast większość z nich była pochodzenia niemieckiego i tego faktu nie możemy się obawiać. Dlaczego? My boimy się stwierdzenia, że Krzyżak był Niemcem. Dlaczego? Skąd w nas ten strach? To tak jakby powiedzieć, że Tenczyńscy albo przedstawiciele jakiegoś innego wielkiego rodu nie byli Polakami, bo określenie Polak jeszcze wówczas nie istniało. Nie, musimy też, żeby tym widmom się przeciwstawić, uznać prawdę, powiedzieć: tak, oni tacy byli, i zdecydować, co taką prawdą będziemy robić.

Piotr Kotlarz: Ja tylko *ad vocem* – niemieckojęzyczność nie znaczy niemieckość. Szwajcarzy, Austriacy nie są Niemcami, a są niemieckojęzyczni.

Beata Możejko: Chciałabym, żeby tu się wypowiedziała…

Piotr Kotlarz: Ja wiem, ale wielu historyków popełnia ten błąd – niemieckojęzyczność to nie jest niemieckość.

Beata Możejko: Nie powiedziałam, że to jest tylko niemieckojęzyczność, ale całość kultury i poddaństwa, politycznego podporządkowania.

Piotr Kotlarz: Tak, ale tożsamość narodowa powstaje w XIX w., to nie jest niemieckość. Inna kwestia – Krzyżacy to była tylko zbiorowa głowa państwa. Mieszkańcy państwa zakonnego składali się z podbitych i zniewolonych Prusaków, później osadników z różnych terenów czy miejscowej ludności, która uzyskała prawa, rycerstwa itd. To są bardzo złożone procesy. Jeżeli historycy te skomplikowane procesy upraszczają, to prowadzą właśnie do powstania widm. Krzyżacy zostali z Gdańska wygnani, zamek zniszczono, byli znienawidzeni przez gdańszczan.

Beata Możejko: Nie mogę się z panem zgodzić.

Maria Mendel: Historycy czasem bardzo detalicznie różne rzeczy pokazują i – paradoksalnie – to może być przez odbiorców interpretowane jako uproszczenie, nie jesteśmy w stanie we wszystkie te detale wejść. Myślę, że to jest bardzo częsta praktyka. Bardzo dziękuję państwu za tę wymianę!

Ewa Nawrocka, prof. dr hab., Uniwersytet Gdański (dalej: **Ewa Nawrocka**): Nazywam się Ewa Nawrocka, jestem emerytowanym polonistą Uniwersytetu Gdańskiego. Chcę powiedzieć o moim synu Krzysiu, który od wielu lat mieszka w Anglii, skończył

tutaj w Gdańsku politologię, jest nią zafascynowany, chociaż pracuje jako kucharz. Otóż, kiedy chodził do szkoły średniej tutaj w Gdańsku, pamiętam, jak mi opowiadał z absolutnym zachwytem i fascynacją, że na lekcjach historii w swoim liceum dowiedział się o Krzyżakach jako wspaniałym zakonie, wprowadzającym niezwykłe nowości, i techniczne, i strukturalne, i polityczne. Był tym zafascynowany, a niezgorszony. Z ciekawością słuchałam tych szczegółów, bo nawet nie byłam w pełni świadoma tego – mówię o tym dlatego, że on ma 45 lat, więc okres nauki w liceum przypadł na czasy PRL-u. Podsumowując, znaleźli się w całej Polsce, również tutaj w Gdańsku, tacy nauczyciele historii, którzy rzeczowo dobrze przygotowani, solidnie wykształceni na studiach historycznych, przyzwyczajali młodzież do myślenia o Krzyżakach nie w sposób taki stereotypowy, że to wrogowie i Niemcy – niesienkiewiczowski, tak bym powiedziała.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Spróbuję może pogodzić te rozbieżne stanowiska. Po pierwsze, żyjemy w opowieściach, opowieści nas uwodzą, ale opowieści nam też wyjaśniają świat. Gdy tylko wchodzimy w świat, opowieści nam mówią, co jest krótkie, co jest długie, co jest duże, co małe, definiują: to jest kobieta, a to mężczyzna, dorosły, dziecko, więc od razu uczą nas dzielenia i polaryzacji. Nie wskazują nam na to, co jest pośrodku, pomiędzy. Zobaczcie państwo, jakie zabawki proponowane są naszym dzieciom – niewiele szarości, wszystko jest różowe lub niebieskie, białe albo czarne. Opisu i postrzegania świata opartego na przeciwieństwach uczymy się, gdy dorastamy. I wówczas przychodzi szkoła z różnymi opowieściami, które również najczęściej są zbudowane na schemacie przeciwieństw: dobry – zły, wróg – przyjaciel, Polak – Niemiec. Polacy, żeby zbudować swoją tożsamość, żeby się utwierdzić w swojej polskości, potrzebowali obrazu Niemca w optyce negatywnej. A jeśli weźmiemy pod uwagę okres zaborów, to tym bardziej ta matryca była użyteczna. Widma przeszłości – Krzyżak, Niemiec – odegrały więc swoją rolę, wzmacniając polską tożsamość. Studiowałam w Krakowie i to była niesamowita przygoda. Jak mówiłam, że jestem z Gdańska i jestem Kaszubką – uznawano mnie za Niemkę, a co najmniej germanofilkę. Z taką opinią spotykałam się powszechnie. Odczucie odmienności powracało często. Już w pierwszym dniu po przyjeździe padło w piekarni pytanie: skądżeś ty, dziecko, tu przyszła? Bo inaczej nazywałam wiele produktów, np. bułka paryska tam występuje pod nazwą weka, kafelkarz to flisarz itd. I nagle człowiek czuje, że jest z innego świata. Przychodzi z innego świata i inaczej patrzy na świat. Inaczej go nazywa i odczytuje. To, co mnie uderzyło w akademiku, to powszechność innych opowieści o Żydach od tych, które wyniosłam z domu. Temat żydowski był w krakowskim akademiku oswojony w negatywny sposób, a żarty oświęcimskie na porządku dziennym.

A teraz powróćmy do tych naszych opowieści gdańsko-pomorskich. Jeśli wejdziemy w nie, to okazuje się, że przy jednym stole siadali ci, co za Polską i ci, co za Niemcami. Że tak naprawdę świat składał się z szarości, kontekstowych wyborów i niejednoznaczności, choć my cały czas opieramy się na wizji Sienkiewicza w postrzeganiu przeszłości polsko-niemieckich relacji. I cały czas nie ma opowieści,

która przeciwstawiłaby się narracji Sienkiewicza i stworzonemu przezeń obrazowi Niemca w sposób skuteczny. Sienkiewiczowska opowieść funkcjonuje i jest utrwalana w kulturowym przekazie. Owszem, znajdzie się kilkoro nauczycieli nieszablonowo mówiących o historii, ale większość korzysta z matrycy, schematu, od którego nie uwalniają nawet studia.

Wobec tego tym bardziej dziękuję za zaproszenie. Ostatnio widziałam w sieci mem, jak wygląda wykładowca akademicki przy końcu sesji. To naprawdę bardzo zmęczony człowiek. Często mam wrażenie, że też jestem takim człowiekiem, że co roku w tym okresie tylko sprawdzam prace semestralne, nie mając czasu na żadne refleksje. Stąd tym bardziej dziękuję za to zaproszenie do namysłu.

A jeśli mówimy o naszym pograniczu, to przeniesiono na nie zero-jedynkowe opowieści. Opowieści stąd, ze świata pogranicza, są często zupełnie inne. Profesor Harciarek przytoczył opowieść swojej rodziny. Konkretyzuje ona moją metaforę stołu gdańskiego, gdzie spotykały się różne opcje narodowe, różne języki i różne historie. Gdzie tak naprawdę za każdym razem od nowa ustalano, kto jest kim. Kontekst był ważny i zagrożenie, które dla jednostkowych wyborów niosły ze sobą dominujące narracje narodowocentryczne. Rozumiem, że o Franku Meislerze i Günterze Grassie powiem później, wskazując na kontrpropozycje do narracji Sienkiewicza.

Maria Mendel: Właśnie, Frank Meisler, od którego biografii specjalistką jest pani profesor Borzyszkowska-Szewczyk, to był człowiek, który przyjął edukację nieco jednak inną. Ona miała miejsce tu, na Pomorzu, ale czy była taka czarno-biała?

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Frank Meisler przyjął czarno-białą edukację niemieckiej szkoły powszechnej i polskiego gimnazjum, która stała się jego widmem. Niósł ją ze sobą i zaważyła ono na jego stosunku do polskości. Z jednej strony syn żydowskiej rodziny stykał się z antysemityzmem niemieckiej ulicy, a z drugiej z antysemityzmem polskiego gimnazjum. Wytłumaczył to w swoich wspomnieniach, które w polskim przekładzie noszą tytuł *Zaułkami pamięci*. Wyciąga w nich swoje widma z szafy pamięci i z nimi się konfrontuje.

Maria Mendel: Szanowni państwo, wspominamy znakomitą książkę, która powstała dzięki wysiłkowi pani profesor i jej męża, obecnego tutaj pana Szewczyka. Dziękujemy za powstanie tej publikacji, przetłumaczyliście ją państwo i sprawiliście, że się ukazała – *Zaułkami pamięci*, biografia Franka Meislera, Danzigera, gdańskiego Żyda, który jest też autorem Kindertransportów – rzeźb figuratywnych, które w kilku miastach Europy, m.in. w Gdańsku, zostały ustawione przy dworcach ku pamięci dziecięcych transportów, ostatnich transportów żydowskich dzieci, tuż przed wybuchem wojny, w sierpniu 1939.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: 25 sierpnia.

Maria Mendel: Wrócimy do tematu z całą pewnością. Ktoś z państwa chciałby się włączyć do dyskusji?

Michał Harciarek: To ja może dwa słowa dopowiem – faktycznie jest coś niesamowitego w tych wszystkich opowieściach, że nasza rzeczywistość jest przedstawiana jako czarno-biała. Urodziłem się długo po wojnie, dlatego pewne kwestie, które cechowały ten okres, powiedzmy końca lat 40., 50., 60., mnie nie dotyczą, znam to bardziej z opowieści. Natomiast, ponieważ wychowywałem się w domu razem z babcią, pamiętam, że uznawała się ona za gdańszczankę i to budowało jej tożsamość. Owszem, Polska była dla niej bardzo ważna, głównie przez pryzmat ojca Leona Trzebiatowskiego, który walczył o prawa Polaków, był zaangażowany w różne działania, czy to z księdzem Góreckim i innymi osobami i też, koniec końców, został przewieziony 1 września do Viktoriaschule na Kładki (budynek ten mieścił później wydział biologii), stamtąd do Nowego Portu, potem do Stutthofu, gdzie w Wielki Piątek 1940 r. został rozstrzelany. Natomiast w domu mówiło się po niemiecku. Moja babcia polskiego języka uczyła się głównie, chodząc do gimnazjum, co miało swoje reperkusje po wojnie, gdy poznała mojego dziadka – jeńca obozowego, który ponad trzy lata spędził w Auschwitz, a wcześniej przebywał w innym obozie koncentracyjnym. To nie pozostało bez echa, że on słyszał język niemiecki w domu i że ten akcent mojej babci był taki, jaki był. Niezależnie jakby od uczuć, które żywił do rodziny, myślę, że pewne doświadczenia, które zebrał, uderzyły też potem rykoszetem pewnie i w moją mamę i wiele innych osób. Natomiast do czego zmierzam – moja babcia, a propos jej tożsamości, miała zwyczaj organizowania obiadów czwartkowych dla swoich koleżanek z gimnazjum, które przeżyły wojnę i nie wyjechały. Zazwyczaj przychodziło cztery, pięć pań i co tydzień inna organizowała obiad. Proszę mi uwierzyć, rzadko kiedy mówiły one po polsku między sobą. Wtedy widziałem zupełnie inną babcię – moja babcia świetnie mówiła po polsku, ale czułem, że ona jest tak naprawdę sobą wtedy, kiedy spotyka się z koleżankami, kiedy wraca do sytuacji z przeszłości, kiedy używają swojego młodzieńczego slangu. Nazwijmy to slangiem, bo choć pisywało się w języku niemieckim, poza Gdańskiem niektóre zwroty nie były zrozumiałe.

Pamiętam taką sytuację, à propos językowych i tożsamościowych kwestii – w niedzielę zawsze – a mieszkaliśmy wówczas w Dolnym Wrzeszczu – chodziliśmy do kościoła przy ulicy Mickiewicza. A po mszy szliśmy do cukierni Frąckowiak po ciastka. Zawsze mówiło się o nich spritzkuchen, po polsku – parzone. Kiedyś urwałem się, mówiąc krótko, ze szkoły, a że miałem przy sobie parę złotych, poszedłem do cukierni. Zobaczyłem te ciastka i poprosiłem o jedno spritzkuchen, skonsternowana ekspedientka nie wiedziała, o czym mówię, niemal doszło do kłótni. To jest przykład językowych kwestii, które wynosimy z domu, wskazujących na pochodzenie. Historia mojej rodziny jest bardzo eklektyczna – jak większości rodzin na Pomorzu. Natomiast nigdy by mi nie przyszło do głowy, że takie stwierdzenie może się spotkać z wrogością. Ta ekspedientka była wręcz oburzona na mnie za użycie takiej nazwy, co było dla mnie wielkim nieporozumieniem, ale w końcu mi je sprzedała i było bardzo smaczne.

RG_2021.indd 318 2022-09-14 10:41:08

Maria Mendel: Ja pamiętam sznekę z glancem. Bardzo proszę, pan Piotr Tarnowski.

Piotr Tarnowski: Jak zapowiadałem państwu na początku, chciałbym się podzielić z państwem swoim dystansem do tejże historii. Wprawdzie jestem tutaj już 14 lat, ale przyjechałem tutaj prawie jako 40-latek, a więc socjalizowałem się w zupełnie innym miejscu i zupełnie innej rzeczywistości, chociaż, jak słyszę, istnieją pewne podobieństwa, bo też sytuowaliśmy się w opozycji do wroga, tyle że u nas był to Rosjanin. U mnie w domu przede wszystkim nie lubiło się go, a było to dla mnie w dzieciństwie przedziwne, bo mój dziadek, członek ruchu oporu, został stracony w czasie wojny na Pawiaku, a więc przez Niemców. A Niemiec nie był mimo wszystko zły, dlaczego? Dlatego, że jak Rosjanin przychodził, to rabował wszystko, a Niemiec zostawił tyle, żeby móc zasiać i jeszcze raz przyjść po plony. Wracając do Gdańska, przyjechałem tutaj z pewną młodzieńczą, choć był to już schyłek młodzieńczości, butą, i uważałem, że świetnie znam historię, a jeżeli ją znam, to muszę ją jednocześnie rozumieć. O ile dobrze pamiętam, w przeciągu kilku miesięcy dowiedziałem się, że muszę odrobić tę lekcję od samego początku. Oczywiście nie sięgam do Krzyżaków, to nie jest moja domena, patrzę na pomorskość, gdańskość przez pryzmat Stutthofu. Na poziomie semantyki, a później przekładania jej na historię, okazało się, że popełniałem karygodne błędy. Na szczęście było we mnie jeszcze trochę pokory, żeby chcieć to zweryfikować. A o co chodzi?

Chodzi o to, że z punktu widzenia osoby, której rodzina znała historię II wojny światowej z perspektywy Generalnego Gubernatorstwa, gdzie była okupacja, przeciwstawiana inkorporacji, zupełnie innemu prawodawstwu, volksliście, nie mogłem początkowo wielu gdańskich kwestii zrozumieć. Już emerytowany kolega z działu naukowego, Krzysztof Stejer, w końcu kiedyś mi to wyłożył. A do mnie nie docierało; pytałem – jak to, tyle osób podlega tu volksliście, a przecież w Warszawie to był ułamek procenta i wszyscy byli otoczeni ostracyzmem; jak to było możliwe? Możemy znać mnóstwo faktów, możemy znać wszystkie, ale jeżeli nie jesteśmy ich w stanie zrozumieć, to jakbyśmy ich nie znali wcale. A przy tym mamy do czynienia tak na co dzień z dwoma kluczowymi problemami. Jeden to relatywizm historyczny, a drugi – nie jestem pewien, jak to nazwać, określiłbym jako zacietrzewienie. Ktoś się zacietrzewia przy jakiejś tezie czy interpretacji historycznej i w momencie, gdy jakiś element do niej nie pasuje, na siłę będzie jej bronił. Nie uczestniczę w tym z własnej woli – pani profesor zapewne pamięta, jak udało nam się spotkać przy okazji tworzenia założeń nowej wystawy stałej w muzeum Stutthof. Gdy rozeszła się informacja na ten temat, przychodziło do mnie mnóstwo osób z żądaniami przedstawienia konkretnych historii w określony sposób. Ja natomiast muszę opowiedzieć historię, która się wydarzyła, a nie przedstawić jej interpretację, ponieważ jeśli opowiem o interpretacji albo ukażę tylko część historii, to nie powiem prawdy. A naszą rolą jest powiedzieć prawdę takim językiem, który będzie powszechnie zrozumiany. Odnoszę wrażenie, że gdańszczanie, pomorzanie odrobili lekcje z tego tematu, o którym jest mowa, natomiast co pewien czas znajdują się tacy ludzie pochodzący spoza Pomorza, którzy tu zostają, ale tej historii nie rozumieją i od nowa wprowadzają do tego tematu zamieszanie.

Maria Mendel: Jaką funkcję spełnia taki outsider?

Beata Możejko: Trochę jest tak, że my tutaj żyjemy naszym własnym mitem. Z tym mitem wielokrotnie próbował polemizować Peter Oliver Loew, twierdząc, że wszystkie nasze gdańskie mity to nie są te mity itd., co rodzi w nas bunt. Zastanawiając się, śledząc biografie dawnych gdańszczan, myślę sobie też o takich rodzinach jak moja, czyli napływowych. Jak myśmy to szybko przyswoili, jak myśmy szybko nasiąknęli Gdańskiem, jak szybko zaczęliśmy być z niego dumni. Być może we Wrocławiu jest trochę inna sytuacja, tam trudno znaleźć polskie wątki w historii, ale my w Gdańsku po prostu adoptowaliśmy sobie jego historię, tak jakbyśmy byli spadkobiercami w prostej linii tych, którzy tutaj mieszkali w XV, XVI, XVII w. itd. A tymczasem my jesteśmy z Gdańska, jesteśmy otwarci, czujemy tę wolność płynącą z morza. Ale właśnie takie osoby, które mówią, że nie rozumieją – może po prostu nie pojmują tych naszych widm, historii itd., mają inną historię do opowiedzenia. Profesor Borzyszkowska powiedziała, że potrzebujemy czy potrzebowaliśmy wroga. Każdy właściwie naród w XIX w. potrzebował wroga – my – w znaczeniu społeczeństwa – również. W XIX w. każde społeczeństwo potrzebowało wroga, to jeden z punktów odniesienia do budowania swojej narodowej tożsamości. Ale pytanie, czy teraz go potrzebujemy, czy w naszej narracji ciągle musi istnieć strach przed innym, przed wrogiem.

Ewa Nawrocka: Uczą nas tego, wmuszają nam to.

Maria Mendel: Bardzo proszę, kto z państwa chciałby zabrać głos?

Piotr Kotlarz: Spróbuję to krótko podsumować. Pani słusznie zaczęła od Sienkiewicza, ale wcześniej był Mickiewicz z *Konradem Wallenrodem*. Pani też wspomniała o Rosjanach…

Beata Możejko: Z „Litwo, ojczyzno moja"…

Piotr Kotlarz: Chciałbym zwrócić uwagę, że to nie społeczeństwa w XIX w. budowały tę niechęć, tylko powstała ona jako efekt zderzenia imperializmów. Rosjanie budowali niechęć do Niemców w społeczeństwie polskim – stąd *Konrad Wallenrod*, stąd też potem w zaborze rosyjskim Sienkiewicz, stąd po II wojnie światowej kontynuacja polityki rosyjskiej. Tak samo Rosjanie budowali tutaj tożsamość kaszubską. Wielki Zjazd Kaszubski, lata 60. itd. – to jest czas budowania tożsamości przez różne wywiady. Nawet Czartoryski, który też chciał stworzyć królestwo, na Bałkanach grał tożsamością narodową, to wyniósł od Aleksandra – naukę, świadomość. To są kwestie niepodejmowane w badaniach, ale warte analiz. Natomiast my nie jesteśmy pierwszym tyglem tutaj na Pomorzu. Mój wujek Jachimczyk, bohater powstania warszawskiego, mówił w getcie jidysz. Prawdopodobnie w jego rodzinnym domu mówili nie tylko po niemiecku i po polsku, ale również w jidysz, skoro on nagle w czasie okupacji potrafił

posługiwać się płynnie jidysz i handlował w getcie. To jest bardzo złożone – rodzina Tusków przybyła z emigracją szkocką do Polski w XVII w. Wszyscy jesteśmy tutaj przybyszami – czy przybyliśmy w tym okresie, czy w innym – zawsze tak było.

Maria Mendel: Nie tylko tutaj.

Piotr Kotlarz: Nie tylko tutaj, to jest Europa Środkowa i to tak wygląda.

Ewa Nawrocka: Bardzo podoba mi się ta dyskusja, głównie z tego powodu, że wszyscy z państwa mówią o swoich doświadczeniach osobistych lub rodzinnych. Ja pochodzę z Kresów, ze Stanisławowa, stamtąd jest moja rodzina. Ale moja babcia z Galicji używała mnóstwo wyrazów niemieckich. I to było dla mnie oczywiste, ja sama się nimi posługiwałam. Ale tutaj, gdy przyjechaliśmy do Gdańska we wrześniu 1945 r. z rodzicami i babcią, miałam takie poczucie, że nie lubiłam tego miasta, takie mi się wydawało obce. I chyba nawet wtedy, jako licealistka, myślałam, że miasto jest niemieckie, nie nasze. Ale tutaj spotkały się różne wpływy, różne nacje, różne religie, różne wyznania, różne narodowości. To zaleta – w pewnym momencie zrozumiałam, że to jest walor Gdańska. Dzięki temu jesteśmy tacy wielojęzyczni, wieloreligijni, wielokulturowi, wielomyślowi – to największy nasz atut, to jest cudowne. W Gdańsku dochodziło też do spotkań kresowiaków z Wilna, z Lwowa, ze Stanisławowa z Kaszubami – urodzonymi tutaj.

Michał Harciarek: Zgadzam się w stu procentach z panią profesor, że my od zawsze – odkąd pamiętam – byliśmy przynajmniej tutaj, na Pomorzu, jako jedność. Oczywiście, przenikały się tu różne kultury, różne wyznania, ale w obliczu zagrożenia społeczność potrafiła się zjednoczyć, czego przykładem jest chociażby wojna z Batorym. Tak jak wcześniej czy później monety były bite z podobizną króla Polski, za czasów Batorego przez okres wojny były bite z podobizną Chrystusa. Natomiast swej różnorodności, wydaje mi się, że Gdańsk zawsze bronił, faktycznie to jest wyjątkowe miasto pod tym względem. W Polsce trudno mi przywołać inne tak różnorodne kulturowo.

Tomasz Szkudlarek, prof. dr hab., Uniwersytet Gdański (dalej: **Tomasz Szkudlarek**): Z naciskiem na „w Polsce", bo Gdańsk to jest po prostu normalne europejskie miasto.

Maria Mendel: Doktor Aleksandra Kurowska-Susdorf, przewodniczka po pomorskich miejscach i autorka znakomitej książki…

Aleksandra Kurowska-Susdorf, dr, adiunkt w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, GTN (dalej: **Aleksandra Kurowska-Susdorf**): … książki o śmierci: *Oswoić śmierć. Edukacyjny potencjał kaszubskich rytuałów pogrzebowych*. Kończąc ten wątek, chciałam bardziej z perspektywy przewodnika powiedzieć, bo macie państwo rację, że Gdańsk

jest szczęśliwym miejscem do oprowadzania, bo można mnóstwo historii o nim opowiadać. Ale mam bardzo często taki problem z turystami z zagranicy, powinnam np. w trzy godziny te skomplikowane kwestie maksymalnie uprościć. To jest ogromne wyzwanie. A teraz gdy posłuchałam prof. Miłosławy Borzyszkowskiej-Szewczyk, przyłapałam się na tym, że jednak w czasie mojej piętnastoletniej pracy jako przewodnik, oprowadzając turystów, szczególnie zza oceanu, szukam intuicyjnie elementów polskich. Opowiadam o dziadku, o Hanzie itd. Kiedyś, kończąc wyjątkowo męczącą wycieczkę, której uczestnicy codziennie przypływali statkiem do innego portu, usłyszałam pytanie pewnego pana: „Przepraszam, to w jakim kraju my teraz jesteśmy? Bo pani mówiła, że tutaj taki styl, tutaj cegły gotyckie, tutaj renesans, to w jakim kraju?". Wprawiło to mnie w osłupienie, bo rzeczywiście, zaprezentowałam kulturową różnorodność Gdańska w rozbudowanej narracji, pomijając elementy polskie. Potem pilnowałam, by mówić o nich. My, jako nauczyciele, dążymy często do uproszczeń, one są niekiedy bolesne, ale gdy stykamy się z dziećmi na co dzień albo z ludźmi z zagranicy, którym trzeba to w pigułce przekazać, stajemy się na chwilę ambasadorami kraju, to jest duże, choć ciekawe wyzwanie. Jestem świeżo po warsztatach z uczniami klasy 7 z historii obozu Stutthof, głównie dotyczącymi marszu śmierci. W Luzinie mamy ulicę Ofiar Stutthofu, więc mogłabym założyć i tak założyłam na początku, że każde dziecko tą ulicą się przemieszcza. Zrobiłam wobec tego na początku warsztatów krótką ankietę z pytaniami: jak myślisz, co to był marsz śmierci, czy znasz jakichś bohaterów. Miałam nadzieję, że może ktoś opisze swoją babcię, która może rzucała jedzenie maszerującym więźniom. Nie otrzymałam jednak żadnej odpowiedzi zgodnej z moim oczekiwaniem.

Beata Możejko: Bardzo dziękuję pani doktor za ten bardzo ważny głos, dotyczący tego, jak rozmawiać z dziećmi i młodzieżą. Rzeczywiście, jak opowiedzieć w trzy godziny historię Gdańska, która jest bardzo skomplikowana? Skróty i uproszczenia są nieuniknione. Chciałam państwu o czymś innym opowiedzieć, przejdziemy poza Gdańsk. Oprócz tego, że prowadzę zajęcia z historii średniowiecza, prowadzę też zajęcia z nauk pomocniczych historii. Jedną z moich ulubionych nauk jest genealogia, czyli pochodzenie rodzinne, kiedy mówię studentom, że będziemy badać nasze własne genealogie, zaraz zastrzegają „ale my nie jesteśmy ze szlachty". Tłumaczę, że to nieistotne, ponieważ interesujące jest każde pochodzenie. Moje doświadczenia z lat 90., właśnie ze studentami, studentkami historii, pochodzącymi z Pomorza, z Kaszub, były takie, że jeszcze wtedy żyli ich babcie, dziadkowie. Zatem kiedy oni przyszli pytać starszych członków rodziny o swoje korzenie, często dostawali odpowiedź, że „dziecko, po co ci to? Lepiej żebyś o tym nie mówiła, to może obrócić się przeciwko tobie". W początkach XXI w. to podejście się zmieniło, młodzież nie ma takich obaw – być może ich rodzice odrobili lekcję genealogiczną. Nie wszystko jest takie czarno-białe – nie tylko tutaj Gdańskiem żyjemy i nie tylko o Gdańsku chcielibyśmy tutaj rozmawiać.

Maria Mendel: Muszę tu zwrócić uwagę, że rozumieniu widma sprzyja odniesienie jego znaczenia do światła. Tak jak światło lampy, którą wyłączysz, nie gaśnie od razu,

ale stopniowo… Pojawiają się powidoki – mówił słynny teoretyk sztuki i artysta Strzemiński. Ale Derridiańskie widma, które akcentują właśnie tę świetlną metaforyczność, są akcentowaniem widmowych resztek, obecności przeszłości w teraźniejszości, właściwego problematycznego istnienia teraźniejszości, kiedy widmo działa tak, że wnosi przeszłość w to, co jest dzisiaj i co jest zainteresowane przyszłością. Jak duch ojca Hamleta przeszłość przychodzi, powraca ciągle, bo chce coś załatwić, bo ma coś do zrobienia w dzisiaj, bo ma jakiś tu i teraz interes – różnego rodzaju interes – kulturowy, polityczny, także tożsamościowy. Tak rozumiane widma, a w szczególności te widmowe resztki, w odczuciu autorów książki – zaraz wam oddam głos, mili państwo – są w tym znaczeniu formacyjne i edukacyjne. One uczą, one nas formują, one nas tworzą. Powiecie coś *ad vocem*, autorzy książki *Eduwidma. Rzeczy i miejsca nawiedzone*?

Dominik Krzymiński, doktorant w Instytucie Pedagogiki UG (dalej: **Dominik Krzymiński**): Zastanawiałem się w trakcie tej dyskusji, jak nawiązać do państwa wypowiedzi tematem, który poruszyłem w artykule książki *Eduwidma*, a więc kwestią transformacji terenów postoczniowych, opatrzonym tytułem *Widma wśród stoczniowych dźwigów*. Swoją wypowiedzią skieruję może dyskusję na aspekt przestrzenny, aspekt miejsca, przez które te widma ujawniają się, np. poprzez napis, który był na budynku, a zniknął albo został zamalowany, jak to ma miejsce w przypadku niektórych kamienic w Gdańsku. Stocznia wydawała mi się na tyle interesująca w aspekcie widmowym, że ona rzeczywiście zawiera w sobie ślady historii, która jest niejednoznaczna, mamy bowiem Stocznię Cesarską, Stocznię im. Lenina, w której działy się z punktu widzenia, można powiedzieć, polskiej narracji, wielkie przemiany historyczne. Z drugiej strony funkcjonują też historie tych osób, które pracowały w stoczni. To byli Polacy, Niemcy, Kaszubi. Moje pytanie dotyczyło tego, dlaczego tak się dzieje, że ta stocznia znika? Notabene napisałem wcześniej tekst o znikającej stoczni. Budynki były wyburzane mimo tego, że można je było przekształcić w nową dzielnicę, zaadoptować je w duchu dialogicznego podejścia, które prezentuje np. architekt Jacek Dominiczak – tzn. nie burzyć tego, co było, tylko wpleść w nową tkankę. A tutaj Stocznię Gdańską w dużej mierze zniszczono czy wyburzono, powstają teraz nowe budynki, które być może nie będą miały żadnej cechy charakterystycznej, takie budynki mogą powstawać gdziekolwiek. To jest pytanie, które mnie nurtuje osobiście jako mieszkańca Gdańska, jak te ślady utrwalać, by nie czynić z danego miejsca skansenu, gdyż nie o to chodzi, ale żeby tworzyć tę nową rzeczywistość w sensie przestrzennym miasta, pamiętając lub inaczej – zaznaczając dawne ślady. Wszystko, o czym teraz mówiliśmy, to są historie rodzinne, osobiste, które są w nas, w opowieściach, ale jak je zobaczyć w mieście? To jest to, o czym powiedziała Aleksandra Kurowska-Susdorf, pokazująca turystom starówkę, która kryje wiele ciekawych miejsc. Do głowy przychodzi mi też kontrowersyjna historia – po remoncie budynku poczty przydworcowej został odrestaurowany niemiecki napis Postamt. I w pewnych komentarzach pojawiło się pytanie, dlaczego są przywracane niemieckie napisy? Jeszcze jedna kwestia mi się przypomniała, nawiązująca bezpośrednio do Krzyżaków – to kwestia Młodego Miasta w stoczni.

To jest też ciekawe, poruszyłem zatem ten wątek w swym artykule: teren postoczniowy kiedyś nazwano młodym miastem, co de facto stanowi odwołanie do młodego miasta, które powstało za czasów krzyżackich, a potem zostało zburzone. Pojawiły się wówczas kontrpropozycje, żeby nazwać tę dzielnicę Solidarność, bo jest to wznioślejsze, ważniejsze z punktu widzenia historii. Powstaje pytanie, która narracja, jeśli chodzi o tożsamość dzielnicy, tej nowej, postoczniowej, ma być dominująca? Czy tu chodzi tylko o Solidarność, czy może o te wszystkie mikrohistorie, które się przewijały. Dziękuję bardzo.

Maria Mendel: Dziękuje bardzo, także za przypomnienie, że Pomorze ewidentnie jest miejscem nawiedzonym.

Michał Harciarek: Chciałem odnieść się do tego, co pan powiedział o zmianach, w jaki sposób zagospodarować taką przestrzeń… Myślę, że to jest temat, który zawsze powraca, bo gdy rozmawiamy o historii, to można sięgnąć do 1945 r. i tego momentu, kiedy Gdańsk był zniszczony. Wówczas też stawiano sobie pytanie: czy odbudować, czy nie odbudować. Odbudowano, ale nie wszystko, a odbudowano tak, że te ulice niekiedy w ogóle się nie zgadzają z planem miasta. To jest też pytanie o sentyment do tego miejsca ludności napływowej albo ludzi po transformacji. Swoją drogą, brat mojej babci, jeszcze będąc chłopcem, w czasie II wojny światowej pracował w stoczni. Chociaż jego ojciec został rozstrzelany w Stutthofie, on pracował w stoczni i pewnego dnia dostał nagrodę dla najlepszego pracownika. To tak à propos miejsc, stoczni i kwestii eklektyczno-historycznych.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Także chciałabym odnieść się do tego, co zostało dotychczas powiedziane. Wydaje mi się, że cały czas szukamy po prostu opowieści, opowieści o Gdańsku, która będzie wyemancypowana i wolna od widm narodowych, a która jednocześnie oswoi nasze tutejsze widma. Jak sobie wyobrażam tę naszą przestrzeń Gdańska? To kalejdoskop obrazów-mozaik przeszłości. Obraz zależny od tego, z którego miejsca nań spojrzymy.

Maria Mendel: To bardzo trafne stwierdzenie, że siedzimy na Pomorzu przy tym wspólnym stole.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Tak, siedzimy teraz w kalejdoskopie i z którego miejsca spojrzymy – z kaszubskiej, niemieckiej czy z polskiej strony, postrzegamy coś innego. W naszej rodzinie wiemy, że Wielkopolska i Polesie to są dwa zupełnie różne światy, które spotkały się przy gdańskim stole. Z każdego krzesła przy tym stole Pomorze i nasze doświadczenie na Pomorzu jawi się inaczej. A jednocześnie każda ze wspomnianych społeczności przyszła na Pomorze ze swoimi widmami. I one także jeszcze nie są oswojone.

Maria Mendel: Tak, ze swoimi nieoswojonymi widmami, które pracują w nich i pracują tutaj, na Pomorzu…

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Proszę zobaczyć, literatura, tekst literacki jest tak naprawdę jednym z tych miejsc, gdzie się oswaja widma. Historia jest raczej przestrzenią, gdzie się ustala hierarchię, co jest ważne, o czym należy mówić, o czym nie. Tu ważny jest porządek dyskursu, kto ma prawo decydować, co wybrać z kłębowiska opowieści. Mimo wszystko historiografia reprezentuje zawsze konkretny punkt widzenia.

Badanie literatury pogranicza to coś niesamowicie fascynującego. Nasze pomorskie widma to tylko fragment rojowiska widm Europy Środkowo-Wschodniej. Zygmunt Bauman mówił, że nasza Europa Środkowo-Wschodnia jest kłębowiskiem języków. Możemy spojrzeć przecież na nią jak na przestrzeń składającą się w większości z pograniczy. I chciałabym tu nawiązać do doświadczenia rodzinnego, mieliśmy kilka lat temu gościa – przez pół roku mieszkała z nami Frances z Australii. Frances miała 17 lat, przyjechała jako wolontariuszka. W Gdańsku chciała uczyć języka angielskiego w szkole naszego syna… Jej pobyt okazał się inspirującym przeżyciem, rozmawialiśmy bowiem o jej postrzeganiu naszej przestrzeni.

Odwołam się tu do wypowiedzi Dominika Krzymińskiego – to nasze postrzeganie przestrzeni jest specyficzne. Myśmy przyzwyczaili się do tych granic, którymi pocięta jest nasza część świata. Przyzwyczailiśmy się do tych zmieniających się tablic w różnych językach, które mijamy, przemierzając Europę. Z punktu widzenia Frances to Europa była nie do zrozumienia – wszystko tak blisko, wszyscy tacy stłamszeni, a jednocześnie tak silnie podkreślający swoje zróżnicowanie. Tego nie mogła pojąć.

Więc teraz jak opowiadać o Gdańsku? Nie wiem, czy właściwy będzie ten kurs polski. Jestem za eklektycznym. Eklektyczny, czyli wskazujący na zróżnicowanie – tak jak złożona jest przestrzeń naszego Gdańska i Pomorza. Im więcej będziemy zachowywać w tej naszej opowieści, tym bardziej ta opowieść będzie pełna. Tym bardziej każdy, kto będzie szedł przez tę przestrzeń, będzie w stanie rozczytać w niej czas. Bo w przestrzeni czytamy czas, jak powiedział Carl Ritter, a potem Karl Schlögel. Tym nasza opowieść będzie więc bardziej kompletna, a my wyemancypowani od opowieści narodowych, makronarracji przepełnionych walką i naznaczonych potrzebą wroga.

Ewa Nawrocka: Chciałam powiedzieć o przedmiotach, o rzeczach, trochę to w duchu widma, trochę z własnego doświadczenia. Mieszkam we Wrzeszczu od 1947 r., ale w Gdańsku od 1945 r. W mieszkaniu we Wrzeszczu, w najpiękniejszej willi przy alei Zwycięstwa, która została zbudowana w 1896 r., a jest starsza niż Politechnika. Kiedy przyjechaliśmy tutaj do Gdańska, mama przywiozła fortepian, ojciec obrazy i nic poza tym – zastaliśmy gołe ściany. I wtedy było w Gdańsku takie – nie wiem, jak to się dokładnie nazywało – targowisko, rynek, gdzie można było kupić meble poniemieckie. Ojciec kupił je tam za grosze. Były tam szafy biblioteczne poniemieckie, krzesła, stoły. Pamiętam, że kiedyś przyjechali jacyś Niemcy, chyba mieszkańcy tego domu – mnie

RG_2021.indd 325 2022-09-14 10:41:08

nie było wtedy w domu. Sąsiadka z dumą mnie poinformowała, że ich przegoniła. Strasznie żałowałam, bo chętnie bym ich wpuściła – to byli mieszkańcy tego domu, czegoś bym się o nich dowiedziała. A te przedmioty – wiele rodzin mieszkających teraz w Gdańsku je ma…

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Ale może to pożydowskie przedmioty? Może po Polonii wyganianej?

Michał Harciarek: Miałem taką refleksję, że tak na dobrą sprawę to byli gdańszczanie, obywatele Wolnego Miasta Gdańska i ich pochodzenie było bardzo różnorodne. Także to nie oznacza, że to były poniemieckie meble, chociaż wiadomo, to też się wpisuje w narrację, o której my tutaj mówimy.

Tomasz Szkudlarek: Do jednej rzeczy, która padła w tej rozmowie, chciałem w formie anegdoty nawiązać. Swego czasu próbowałem pewnemu Holendrowi w browarze przy Piwnej, który dziś już nie istnieje, wytłumaczyć tę specyfikę gdańską, opowiadałem o wszystkim, o czym wiemy, że to otwarte, wielokulturowe miasto itd. A on na to: „Przecież to jest port, o czym ty mi tu opowiadasz? Każdy port jest taki sam". Tylko problem polegał na tym, że w Polsce to był jedyny port, jedyne zachodnioeuropejskie miasto, w którym granica Rzeczpospolitej była jednocześnie portem. Cała ta specyfika, to, co tak próbujemy zrozumieć, jest typowe dla takiego usytuowania, dla miast portowych. To wyjaśnia zapewne 60% wariancji, być może. I teraz druga rzecz, która też z tym się wiąże, to odbudowa Gdańska. Kiedy się zwiedza miasta niemieckie, które były tak samo zniszczone jak Gdańsk, widzimy, że tam w większości układ ulic odwzorowuje modernistyczną architekturę z lat 50. Zamiast tego, co zostało zburzone, powstała tam po wojnie modernistyczna architektura i trzyma to swoją klasę, proporcje i jest na miejscu. Myśmy się uparli, żeby to wszystko w Gdańsku odbudowywać, prawdopodobnie z tego względu, że unikalność miasta, jedynego w swoim rodzaju, perły Rzeczpospolitej, powodowała, że mieszkańcy chcieli ten Gdańsk odzyskać, dążyli do tego, żeby on był polski, ze względu na jego bogactwa, unikatowość itd. Nie po to tyle lat walczyliśmy o Gdańsk, żeby teraz go zabudować blokami, zbudowaliśmy wręcz teatralną scenografię starej świetności wielkiego portowego miasta i kurortu, i nam z tym dobrze. Bardzo się cieszę, że to się stało.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Jeśli mogę *ad vocem* – to jest port z jednej strony, z drugiej to styk germańsko-słowiański, pogranicze. Wydaje mi się, że z perspektywy wnętrza Polski ta sytuacja pograniczna (a nie tylko przygraniczna) często jest mniej zauważana, choć stanowiła ona fundament wielokulturowości. Powodowała procesy akulturacji czy też asymilacji przebiegające w obydwóch kierunkach. W związku z tym skutkuje również widmowymi śladami w naszych historiach rodzinnych tutaj, na Pomorzu. Jeśli mówimy Krzyżak, Danziger, to mamy do czynienia właśnie z nimi – tutaj te słowa jednak inaczej patrzą wstecz w niż w centralnej Polsce.

RG_2021.indd 326 2022-09-14 10:41:08

Przyznam się szczerze, że nie lubię nazwy Danziger, bo tworzy ona dystans, wyklucza ze społeczności współczesnych gdańszczan, wskazuje na obcość. Imputuje założenie, że prawdziwy gdańszczanin winien być Polakiem.

Maria Mendel: Można nie lubić tej nazwy, ale idąc za Derridą i książką, o której cały czas wspominam, trzeba rozmawiać z widmami – w tym z Danzigerem, który istnieje też w nas, którego nosimy w sobie, nawet jeśli mówimy o sobie jako o mieszkańcach Gdańska. Trzeba wejść z nim w dialog, nie dając się jednocześnie uwieść, wyciągnąć z tej rozmowy coś, co nas wzbogaci. Chodzi o to, żeby też nie zmarnować potencjalności, jaką jest okazja do rozmawiania z widmami. Danziger jest tu wszędzie… Możemy opatrywać to zjawisko różnymi znaczeniami, wartościować, lubić, nie lubić, reagować, wykazywać wrażliwość na cały bardzo bogaty rejestr, który z tym się wiąże – to jest wartościowa praktyka.

Piotr Tarnowski: Gdy słucham tych, dla których to miejsce jest miejscem urodzenia, wychowania, to widzę pewien problem. Otóż my tutaj, dość powszechnie, w pewnym gronie, w którym się spotkaliśmy, widzimy widma. Dlaczego? My tę historię znamy i rozumiemy. Natomiast ci, którzy tej historii nie rozumieją, którzy podchodzą doń doktrynalnie, którzy uprawiają ów relatywizm historyczny, nie widzą widm, tylko demony, które zaciemniają obraz tejże historii i gdańskiego ducha, o którym była mowa.

Maria Mendel: Dziadek z Wehrmachtu straszy…

Piotr Tarnowski: Tak! Gdy tu przyjechałem, to właśnie historia o dziadku z Wehrmachtu była popularna. Mówimy tu też o potrzebie uproszczeń… Pani Aleksandra wspominała, że jako przewodnik musiała dokonywać skrótów, by zmieścić się z podstawowym przekazem w czasie, który był jej dany. Nie mogła pani nim dysponować w sposób dowolny. Ten skrót to jest ogromna odpowiedzialność, ponieważ możemy wpaść w pułapkę wypaczenia historii, przedstawienia jej w sposób fałszywy. Prawie 10 lat temu zaprosił m.in. mnie ówczesny premier Litwy, żebym był ekspertem w sprawie nowego upamiętnienia zbrodni w Ponarach. Wymordowano tam 100 tys. ludzi w czasie II wojny światowej, przy dużym udziale miejscowych kolaborantów. Większość tych, którzy zostali zamordowani, to byli Żydzi, ale spośród tych 100 tys. około 10 tys. stanowili Polacy, wśród pomordowanych byli też miejscowi przeciwnicy nowych władz. W którymś momencie dyskusji pewien uczestnik, nie z Polski, i nie z Litwy, powiedział: „Dajmy spokój tej sprawie polskiej, skupmy się już tylko na Żydach". Czy my wówczas powiedzieliśmy prawdziwą historię? Czy za czas jakiś nie poszłyby za tym spiskowe teorie, które by przekształciły owe widma w demony? Nie znam odpowiedzi.

Ewa Nawrocka: A co zrobiliście?

Piotr Tarnowski: Co zrobiliśmy? Wszystko, co można było, ale zaniechali to Litwini, więc nic z tego nie wynikło.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Jedni historycy proponują takie pojęcia, jak przeciw-pamięć czy antypamięć, Mówią wręcz, że zadaniem historyka jest wyciąganie tego, co nie mieści się w głównej opowieści, czyli uzupełnianie tej głównej, upraszczającej opowieści o te 10% – np. Polaków w przywołanym przypadku Ponarów. W przypadku Gdańska to będzie kilka procent Polonii w okresie międzywojennym. Przeciw-pamięć obejmuje także historie Żydów, te 1–2% mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska. A także grupę, którą niejednokrotnie trudno było jednoznacznie przyporządkować, czyli Kaszubów. Niejednoznaczność ich przyporządkowań pokazuje Günter Grass w *Blaszanym bębenku*. Agnes/Agnieszka Matzerath, matka Oskara, i jej kuzyn, Jan Broński, kochanek i domniemany biologiczny ojciec Oskara – reprezentują dwie różne opcje kaszubskich wyborów narodowych.

I teraz pytanie, na ile upraszczać, a na ile w przekazie sygnalizować zróżnicowanie? Opowieść o Ponarach jest bardzo dobrym przykładem tego, że żeby coś nie stało się widmem, to trzeba to nazwać, pokazać, a nie decydować się na uproszczenia, bo statystyka tak mówi czy też makronarracja. A każda narracja to przecież selekcja.

Piotr Tarnowski: Zgadzam się. Natomiast jest jeszcze jeden problem – subiektywizm w tym wszystkim. Bardzo mi się spodobała historia o napisie na poczcie, gdzie ktoś w Polsce próbuje twierdzić, że przywrócenie tego napisu jest niewłaściwe. I zapewne ta sama osoba oponowałaby, gdyby na odnawianej starówce lwowskiej usunięto polskie napisy. Chciałbym jeszcze raz podkreślić – historia już się wydarzyła. Jeżeli ją poznaliśmy, musimy ją przedstawić. To jest rola m.in. instytucji, którą tutaj reprezentuję. Dzięki państwu uzyskam wiedzę, jak zrobić to dobrze.

Maria Mendel: Muszę wspomnieć w tym kontekście o czymś, co już padło z ust pana dyrektora – poznaliśmy się przy okazji przygotowywania przez Muzeum Stutthof wystawy stałej. I wówczas urzekło mnie, jak cała ekipa, wszyscy współpracujący nad tym ludzie, pod przewodnictwem pana dyrektora, starali się, powiem obrazowo, dać głos widmom. Pan dyrektor Tarnowski ujął to jako próbę dochodzenia do prawdy. Nie ma czegoś takiego jak prawda, w szczególności prawda historyczna. My możemy próbować dochodzić do niej, ale bardzo istotne jest, żeby dać przy tym głos widmom, temu światłu, które nie do końca wygasło, które jeszcze mówi, które jeszcze widać, jeszcze słychać. To najpełniej opowiada tę historię, która nie jest ani czarna, ani biała, która jest być może najbliżej tego, co moglibyśmy zgodzić się nazwać prawdą.

Jacek Wałdoch, dr, adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji UG, GTN (dalej: **Jacek Wałdoch**): Chciałem nawiązać do wypowiedzi pani doktor Aleksandry Kurowskiej-Susdorf i pani profesor Marii Mendel. Na początku do pani doktor, zwłaszcza dlatego, że jestem też przewodnikiem we wspaniałym Muzeum Stutthof, jak i Muzeum II Wojny

Światowej. Opowiem o pewnym wydarzeniu, które mnie spotkało – oprowadzałem grupę uczniów z Krakowa po Muzeum Stutthof, kiedy opowiadałem, że do obozu jako pierwsi więźniowie przyjechali Polacy złapani w Gdańsku, w Gdyni, później z Kaszub, wówczas pewien młody Kaszub zapytał: „Ale jak to, to oni wsadzali swoich?". Rozumował tak: ten, kto mieszkał w Gdańsku, to na pewno Niemiec, jak to możliwe, że w Gdańsku też mieszkali Polacy, a Kaszubi to na pewno Niemcy. Na pewno nie da się opowiedzieć historii Gdańska w trzy godziny, tak samo nie da się opowiedzieć historii Stutthofu w trzy godziny, ale trzeba próbować, stąd te uproszczenia i schematy, w które wchodzimy. A nawiązując do słów pani profesor – mówiła pani, że te widma dusimy w sobie, że ci, którzy przyjechali chociażby do Gdańska, przywieźli ze sobą te widma. Jechałem do Wilna, badając historię tego miasta z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Moja babcia, która pochodzi z Wilna i przyjechała właśnie w 1945 r. do Gdańska, mówiła „Jezus Maria, do Wilna, przecież ty wiesz, co oni w tych Ponarach robili". Kiedy jechałem do Lwowa, to rodzina z lubelskiego stwierdziła: „Gdzie ty tam do tego Lwowa, przecież wiesz, co ci Ukraińcy robili na Wołyniu". Wydaje się, że chyba nasza Rzeczpospolita to jedno wielkie pogranicze, a każdy region ma swojego wroga – w Polsce Centralnej to pewnie Niemcy, Rosjanie, na wschodzie Ukraińcy, Litwini. Wszyscy mamy walczyć, na pewno w jakiś sposób przeciwstawić się tym widmom czy próbować je zrozumieć, wyjaśnić.

Maria Mendel: Dokładnie – to seminarium jest taką próbą – bardzo dziękuję panie doktorze!

Jerzy Błażejowski: Proszę państwa, jeśli poznajemy historię, to musimy sobie zdawać sprawę, że jest ona zawsze wpisana w jakiś szerszy kontekst. Jeśli mówimy np. o Sienkiewiczu, należy jego twórczość odnieść do tego, w jakim okresie tworzył. Bez tego nie sposób dostrzec przesłania, jakie niosą jego dzieła, i właściwie je zinterpretować. Trylogia Sienkiewicza przedstawia wizję autora ważnych dla naszej ojczyzny wydarzeń z połowy XVII w. – już w znacznej mierze wymazanych z naszej pamięci. Inaczej jest z niedawno powstałym filmem *Kamerdyner*, który ukazuje bolesne epizody z czasów, które jeszcze pamięta wielu żyjących na tych ziemiach lub przybyłych na nie z różnych krańców II Rzeczypospolitej. Jeśli dziś z nadzieją myślimy o braterskiej Europie, to nie sposób budować jej bez dogłębnej analizy bolesnych wydarzeń z przeszłości – nie po to, by rozdrapywać rany, ale po to, by one więcej się nie powtórzyły. Proszę państwa, przy okazji chciałem wspomnieć o nauce gdańskiej, bo być może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jak wyglądała ona w I Rzeczypospolitej, która była krajem wielonarodowościowym. Otóż w Gdańsku nie było wówczas uniwersytetu. Pierwszy w Polsce powołany został w Krakowie. Kolejny, który zyskał uznanie i przywileje akademickie, to uniwersytet w Królewcu – mieście, które założył król czeski Przemysł Ottokar II. Król Polski Zygmunt August nadał mu prawa akademickie, takie jakie posiadała Akademia Krakowska. Uczelnia w Królewcu znajdowała się na ziemiach lennych Rzeczpospolitej. Trzeci był uniwersytet w Wilnie, następnie Akademia

Mohylańska w Kijowie, a dalej – uniwersytet we Lwowie. Dlaczego Gdańsk nie miał uniwersytetu? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Wiadomo jednak, że książę Albrecht Hohenzollern przez lata usilnie zabiegał o utworzenie akademii, która dopiero potem została uznana za uniwersytet. Gdańszczanie trochę zaprzepaścili szansę na założenie uniwersytetu. Zamiast tego w 1580 r. powstało Gimnazjum Akademickie. Trudno jednak wiązać to w jakikolwiek sposób z historią naszego uniwersytetu, który obchodził w 2020 r. 50-lecie. Gimnazjum Akademickie było tak naprawdę uczelnią wyższą i taki miało status. Oprócz Gimnazjum Akademickiego zaistniały nieco później towarzystwa naukowe. Najpierw było to Societas Litteraria cuius symbolum virtutis et scientiarum incrementa, potem powstało Societas Physicae Experimentalis, które z czasem przyjęło nazwę Die Naturforschende Gesellschaft, w okresie działalności w I Rzeczpospolitej. Wraz ze wzrostem rangi i autorytetu towarzystwa podjęto starania o nadanie mu statusu Królewskiego Towarzystwa Naukowego za panowania króla Augusta III Sasa. Projekt przywileju w tej sprawie nie doczekał formalnej akceptacji, a inicjatywa zanikła wraz ze śmiercią króla. Gdańsk był nie tylko bardzo prężnym ośrodkiem gospodarczym, ale i ośrodkiem silnym naukowo, najsilniejszym w ówczesnej Polsce. W żadnym innym mieście nauka nie była tak rozwinięta jak w Gdańsku. Uważam, że to było bardzo ważne; nie bez powodu Gdańsk był nazywany perłą w koronie polskiej. Taka jest rzeczywistość. Wracając do Krzyżaków, o ile pamiętam, mistrzami w zakonie byli również nie Germanie – Słowianie. W związku z tym kojarzenie zakonu wyłącznie z Niemcami jest nieprawdziwe. Dzieje relacji polsko-niemieckich czy polsko-rosyjskich powinny być przedstawiane na tle historycznym. Myślę, że ukazanie ich na szerszym tle trafniej pokazuje, jak naprawdę sytuacja wyglądała. Wielki polski matematyk, Stanisław Banach, mawiał, że dobry matematyk to taki, który potrafi znaleźć analogie między analogiami. Podobnie jest z historią. Powinno się widzieć ją zawsze w szerokim kontekście. Fakty są faktami, trzeba je pokazać, ale trzeba też widzieć ich kontekst historyczny. Jeżeli będziemy mówić tylko o faktach, bardzo łatwo dojdziemy do Danzigera, Krzyżaka czy kogoś innego. Dodam, że mój kolega z Kijowa, zresztą Polak z pochodzenia, kiedyś powiedział „Wyście tu przynieśli, jak była I Rzeczpospolita, kulturę, wiedzę i technikę". Podobnie przedstawiała się sytuacja z zakonem krzyżackim i wpływami zachodnioeuropejskimi w Gdańsku. Oczywiście nie można zapomnieć o tym, co się stało w czasie II wojny światowej, a wcześniej w okresie zaborów. Natomiast działo się też wiele dobrego, o czym też nie należy zapominać.

Michał Harciarek: Chciałbym dopowiedzieć dwa słowa. Bardzo ważne jest, żeby rozmawiać – bez dialogu nie sposób czegokolwiek przekazać. Ale trzeba pamiętać, że zawsze rozmawiamy z kimś i ta osoba dysponuje własną, nabytą wiedzą, a także indywidualną potrzebą domknięcia poznawczego. Myślę, że jeśli chcemy w ogóle w jakikolwiek sposób uzyskać efekt, który przyświeca temu, o czym rozmawiamy, powinniśmy się też zastanowić, w jaki sposób o tym mówić, z uwzględnieniem cech odbiorcy. Bo jeżeli będziemy mówić własnym językiem, to niestety, ale mam wrażenie, przekaz może nie trafić. Myślę, że powinniśmy skorzystać chociażby z wiedzy

psychologicznej na temat tego, w jaki sposób opisywać pewne rzeczy, uwzględniając indywidualizm odbiorcy.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Proponuję, by miasto Gdańsk zaprosiło Netflixa do nakręcenia epopei…

Maria Mendel: Byłby to niekończący się serial…

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Żeby taką epopeję o pograniczu pokazać, skrzącą się różnorodnością, musiałaby objąć nie tylko różne historie, ale i wielość języków pogranicza. Szukajmy więc dalej tej spajającej opowieści, oswajającej widma zastane i przyniesione.

Maria Mendel: Epopeja musiałby pomieścić różne narracje.

Maria Mendel: Za metaforę tej epopei niech posłuży stół, przy którym każdy z zasiadających przy nim gości przemawia, przemawiają dziesiątki widm…

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Czyli wracamy do idei wymiany wspomnień Paula Ricoeura, o której rozmawiałyśmy kiedyś, w ramach innego projektu…

Maria Mendel: Dokładnie, myślę, że dziś podczas seminarium powstanie wiele nowych projektów. Ogromne dzięki za te zamysły. Ale nie mogę sobie jeszcze odmówić zwrócenia państwa uwagi, zanim się pożegnamy, na obrazy przyniesione dzisiaj przez profesora Michała Harciarka i jego mamę jako przedsmak wystawy, którą dzięki uprzejmości i gościnności pana Andrzeja Stelmasiewicza będziemy mogli pokazać jesienią tego roku. Wernisaż tej wystawy będzie z pewnością okazją do kontynuacji naszej rozmowy. Jak widmuje malarstwo Waltmanna? Jak rozmawiamy z tym widmującym przekazem? Wchodzimy w rozmowę z tym, co te obrazy przedstawiają, i widmem, jakim jest Waltmann, gdańszczanin, Danziger, który za nimi stoi. Panie profesorze, poproszę o komentarz.

Michał Harciarek: Jest mi niezmiernie miło, że mogę pokazać te trzy obrazy jako pewnego rodzaju zachętę do uczestniczenia w wystawie, która jest zaplanowana na jesień tego roku. Wydaje się, że na tych obrazach widać olbrzymią tęsknotę, takie sehnsucht, jakby to Danziger powiedział, do miejsca, z którego właśnie autor pochodzi. Te obrazy powstały w okresie powojennym, ale widać np. na tym obrazie osobę opuszczającą miasto Gdańsk zimą. Być może jest to 1945 r. – trudno mi powiedzieć, jest to tylko moja interpretacja. Ośnieżone miasto jest piękne. Widać, że człowiek zostawiający miasto jest rozdarty, tęskni, że bohater obrazu wyraża nostalgię za miejscem rodzinnym, po prostu stara się zaakceptować swoje miejsce w tej chwili. Myślę, że dla malarza to też była trauma, bo potem aż do późnych lat 70. ani razu nie był

w Polsce. Zresztą my też mamy czarno-białe skojarzenia osób, które wyjechały albo zostały wypędzone, na zasadzie Eriki Steinbach. Ci gdańszczanie, którzy wyjechali, pochodzenia bądź co bądź niemieckiego, właściwie do końca wojny wydawali czasopismo „Danziger Hauskalender". Na jego okładce też wykorzystano obraz Herberta Waltmanna. Zawarte w czasopiśmie opowieści bardzo dobrze dokumentują miłość do tego miejsca. Nie tworzą antagonizmów, nie budują wizerunku złego Polaka, który wypędzał mieszkańców niemieckiego pochodzenia. Nie – w tego typu publikacjach lub książkach poświęconych tematyce Gdańska, a napisanych przez np. Güntera Grassa, znajduje się np. wspomnienie tramwaju, który jeździł do Brzeźna czy wielu sytuacji, takich też właśnie jak w opowiadaniu *Kot i mysz*. Ale zawsze tym miejscem jest Gdańsk – dzielnice Gdańska, albo jest to Nowy Port, albo jest to Wrzeszcz, albo jakieś inne przepiękne miejsca. Myślę, że będą mogli państwo zobaczyć w tych obrazach sentyment do Gdańska. Oczywiście to są tylko te obrazy, które posiadam, wiele innych jest rozproszonych w różnych kolekcjach. Herbert Waltmann po wyjeździe do Niemiec osiadł w Brunszwiku, tam też tworzył, głównie malował albo Brunszwik, albo inne niemieckie miasta. Był też w Toruniu, ale najchętniej, gdy mógł, wracał do Gdańska.

Maria Mendel: Bardzo dziękuję za tę zapowiedź i za wysiłek, który wiąże się z prezentacją i przygotowaniem wystawy. Zbliżamy się teraz do końca seminarium.

Irena Harciarek, emerytowana pedagog – Poradnia Pedagogiczno-Psychologiczna w Gdańsku (dalej: **Irena Harciarek**): Nazywam się Irena Harciarek. W związku z omówionymi obrazami nasunęło mi się takie wspomnienie: syn pana Herberta Waltmanna był u nas w Gdańsku z żoną, odwiedzaliśmy cmentarz w Nowym Porcie. Zadziwiło go to, że grób dziadka Herberta i pradziadka jego syna jest zadbany. Zaskoczenie wynikało z tego, że ojciec Herberta wyjechał do Brunszwiku jako wdowiec, matka jego była pochowana w Nowym Porcie na tym cmentarzu, a jej grób – grób Matyldy – został zlikwidowany przez siostrę Herberta. Jak się okazało, oni wszyscy urodzili się w Nowym Porcie przy ulicy Bliskiej. Wobec tego widok cmentarza w Nowym Porcie, a w szczególności grobu, wzruszył syna malarza.

Maria Mendel: Tak, również nas… Dziękuję bardzo! Proszę państwa, czas na pożegnanie. Czy ktoś jeszcze miałby ochotę zadać pytanie, skomentować dotychczasowe wypowiedzi?

Andrzej Stelmasiewicz: Zacznę od anegdoty. Otóż mieszkam w domu przy ulicy Dickmanna z 1907 r., nieopodal firmy Dr Oetker. Pewnego dnia kilka lat temu zauważyłam, że wokół domu nieśmiało krążyła para. Zatem wyszedłem i zapytałem, czy mogę w czymś pomóc? Okazało się, że mężczyzna mieszkał w tym domu do końca wojny. Zaprosiłem ich zatem na kawę. Potem przysłał mi zdjęcia sprzed wojny. Odniosłem wrażenie, że z jednej strony byli pełni obaw, czy ktoś ich tu przyjmie, czy może wyrzuci. a z drugiej ewidentnie ucieszyli się, że nie zastali domu w ruinie, w ich pamięci był on

przecież pięknym miejscem, przypominał im dzieciństwo czy wczesną młodość. Z kolei moja lubelska rodzina wyemigrowała w różne kierunki, ale po 1945 r. głównie do Bolesławca i Legnicy. Żyli tam przez dziesiątki lat w obawie, że przyjdzie Niemiec i zabierze, co jego. Myślę, że to jest doświadczenie, które było bardzo bliskie wielu Polakom, którzy osiedlili się z własnej czy nie własnej woli, na, jak to się kiedyś mówiło, ziemiach odzyskanych. To samo dotyczyło gdańszczan, tych nowych gdańszczan. Myślę, że oni wszyscy żyli w obawie przed aktywnością Eriki Steinbach. Zmieniając nieco temat, w latach 90. Donald Tusk, Grzegorz Fortuna i Wojciech Duda stworzyli album *Był sobie Gdańsk*. Nie liczyli specjalnie na sukces, ale publikacja zyskała ogromną popularność. Wykonano dodruk, a także stworzono serię i dodatki dzielnicowe. Mówię o tym, bo mam przekonanie, że to był przełomowy moment dla świadomości gdańszczan i ich stosunku do miasta, że nagle wtedy, tak gwałtownie, stali się imigrantami, obcymi, którzy tu znaleźli dom, przyznali się do tego, co było przed nimi, do przedwojennego Gdańska, który w znacznym stopniu był zdominowany przez hitlerowców. Nie mówię, że wszyscy gdańszczanie nimi byli, ale ci, którzy rządzili, ewidentnie tak. A mimo wszystko ten mit Gdańska nowo przybyli przyswoili i kultywują do tej pory. Wiele osób mówiło o tym micie Gdańska, który patrząc obiektywnie jest mitem miasta portowego. W każdym razie ta książka zmieniła mentalność nas, dzisiejszych gdańszczan. Uogólniając, literatura, sztuka czy kultura mają znaczenie dużo większe niż działania polityków. To książka przeorała mentalność, a nie dotacje czy działania władz. Bardzo dziękuję państwu.

Maria Mendel: Przekazuję panu Andrzejowi Stelmasiewiczowi – w imieniu autorów i wydawnictwa – w podzięce książkę, którą przedstawialiśmy dzisiaj. Jest ona również upominkiem dla zaproszonych dyskutantów. Pozwolą państwo, że wręczę egzemplarze wraz z serdecznym podziękowaniem! Przyznam, że ta książka pomogła w uchwyceniu myśli o tym, że Krzyżak, Danziger, dziadek z Wehrmachtu są widmami, które powracając straszą; które załatwiają różne tu i teraz interesy, które nas zwodzą, uwodzą i tworzą nawiedzone miejsca… Wszystko to może być dobre, ale niekoniecznie zawsze takie jest. Pracujmy nad tym razem, ucząc się rozmawiać z widmami i z rozmów tych czerpiąc jak najwięcej dobrego. Bardzo dziękuję, do zobaczenia jesienią![2]

[2] W związku z pandemią koronawirusa, trwającą jesienią 2021 r., organizatorzy przełożyli termin wystawy na kolejny rok.